

Juliusz Verne

Wieczny Adam

Tytuł oryginału francuskiego: L'Éternel Adam

**Tłumaczenie:
Barbara Supernat (1996)**

Siedem ilustracji Leona Bennetta zaczerpnięto z XIX-wiecznego wydania francuskiego.

Wstęp

(pochodzi z wydania broszurowego)

Opowiadanie nie jest wersją oryginalną Juliusza, lecz zostało zmienione (w niezbyt wielkim stopniu) przez jego syna, Michela. Ukazało się po raz pierwszy już po śmierci wielkiego pisarza, w 1910 roku, w zbiorze opowiadań, wydanych przez Hetzela pod wspólnym tytułem *Hier et demain [Wczoraj i jutro]*.

Ponieważ w Polsce nie było nigdy publikowane...

Zartog Sofr Ai Sr, to znaczy “mędrzec, trzeci przedstawiciel męski sto pierwszego pokolenia rodu Sofr” powolnymi krokami przechadzał się główną ulicą Basidry, stolicy Hars Iten Schu, zwanego inaczej “Cesarstwem Czterech Mórz”. W istocie cztery morza: Tubelon – inaczej Północne, Ehon – inaczej Południowe, Spon – czyli Wschodnie, Meron – czyli Zachodnie, oblewały tę olbrzymią krainę o nieregularnej formie, której krańce, licząc miarami znanymi czytelnikowi, sięgały na wschodzie czwartego stopnia długości a na zachodzie siedemdziesiątego, oraz pięćdziesiątego czwartego stopnia szerokości północnej i pięćdziesiątego piątego południowej. Jeżeli chodzi o wzajemne położenie tych mórz, można je było oszacować w sposób przybliżony, ponieważ wszystkie cztery zlewały się w jedno. Tak oto nawigator, opuszczając którykolwiek z ich brzegów i płynąc wciąż przed siebie, siłą rzeczy dopływał do przeciwległego brzegu. Dlaczego? Dlatego, że na całej powierzchni globu istniał tylko jeden ląd, Hars Iten Schu.

Ponieważ było bardzo gorąco, Sofr szedł wolnym krokiem. Zaczynała się upalna pora roku i na Basidrę, położoną na brzegu Spon Schu, czyli Morza Wschodniego, poniżej dwudziestego stopnia na północ od równika, spadał straszliwy żar promieni słońca zbliżającego się do zenitu. Lecz bardziej niż zmęczenie i upał, opóźniał kroki Sofra, uczonego zartoga, ciężar jego myśli. Z roztargnieniem przecierając czoło dłonią, rozpamiętywał zakończone przed chwilą posiedzenie, na którym wielu wybitnych mówców, do których i on miał zaszczyt być zaliczanym, uświetniło sto dziewięćdziesiątą piątą rocznicę powstania cesarstwa. Kilku z nich przypomniało jego historię, będącą zarazem historią całej ludzkości, przedstawiając Mahart Iten Schu, Ziemię Czterech Mórz, która na początku dziejów podzielona była pomiędzy dzikie, nie znające się między sobą plemiona. To od tych plemion pochodzą najstarsze tradycje. Co do wcześniejszych dziejów, nie były one znane i nauki przyrodnicze dopiero zaczynały dostrzegać nikiłe światelko w nieprzeniknionych ciemnościach przeszłości. W każdym razie te zamierzchłe czasy umykały ocenie historii, której najgłębszy zasięg stanowiły niewyraźne i niepewne odniesienia do porzucanych starożytnych osad.

W czasie ponad ośmiu tysięcy lat historia Mahart Iten Schu, coraz bardziej złożona i dokładniej poznawalna, relacjonowała walki i wojny toczone najpierw między poszczególnymi osobnikami, później między rodzinami, a w końcu między plemionami. Każda istota żywa, każda zbiorowość, mała czy duża, miała za jedyny cel na przestrzeni wieków zapewnienie sobie władzy nad rywalami, starając się różnymi sposobami, często niegodnymi, podporządkować ich swoim prawom.

Z drugiej strony granicy ośmiu tysięcy lat ludzkie wspomnienia nieco się precyzowały. Na początku drugiego z czterech okresów, na jakie powszechnie dzieli się annały¹ Mahart Iten Schu, legenda zaczynała zasługiwać na nazwę historii. Zresztą, historia czy legenda, ich treść nie zmieniała się wiele: były to zawsze masakry i zabójstwa, nie tylko – i jest to prawda – między plemionami, ale też między narodami, do tego stopnia, że ten drugi okres niczym nie różnił się od pierwszego.

Podobnie było z trzecim, trwającym blisko sześćset lat a zakończonym zaledwie dwieście lat temu. Być może jeszcze straszliwszą była ta trzecia epoka, w czasie której podzieleni na nieprzeliczone armie ludzie z nienasyconej wściekłości zalewali ziemię swoją krwią.

Okolo ośmiu wieków wcześniej, przed dniem, w którym zartog Sofr przemierzał główną ulicę Basidry, ludzkość dojrzała do niezwykłych zmian. W tym momencie broń, ogień, gwałty dokonały już swojego dzieła. Słabi ustąpili mocnym. Ludzie zamieszkujący Mahart Iten Schu tworzyli trzy niezależne narody; w każdym z nich czas zatarł różnicę między dawnymi zwycięzcami a zwyciężonymi. Wtedy to jeden z tych narodów postanowił podbić swoich sąsiadów. Mieszkający blisko centrum Mahart Iten Schu, Andarti Ha Sammgoryjczycy, inaczej zwani Ludźmi o Brązowych Twarzach, walczyli bez pardonu o poszerzenie swoich granic, w których dusili się, będąc rasą gorącą i płodną. Kolejno, w wyniku długich wojen, zwyciężyli Andarti Mahat Horisów, Ludzi z Kraju Śniegu, zamieszkujących południowe krainy i Andarti Mitra Psulów, Ludzi Nieruchomej Gwiazdy, których imperium rozciągało się ku północy i zachodowi.

Niemal dwieście lat upłynęło od czasu, kiedy kolejna rewolta tych ostatnich dwóch narodów utopiona została w morzu krwi, a na ziemi zapanowała wreszcie era pokoju.

Był to czwarty okres w historii. Jedno cesarstwo zastąpiło trzy dawne państwa. Jednolita polityka dążyła do integracji ras, zgodnie z prawami Basidry. Nikt nie mówił już o Ludziach o Brązowych Twarzach, o Ludziach z Kraju Śniegu, czy też Ludziach Nieruchomej Gwiazdy. Ziemię zamieszkiwał jeden naród, Andarti Item Schumowie, Ludzie Czterech Mórz, będący mieszkanką pozostałych.

Ale oto po dwustu latach pokoju wydawało się, że nadchodzi piąty okres. Od pewnego czasu

wśród społeczeństwa krążyły oznaki gniewu, których źródła nie były znane. Pojawili się myśliciele budzący w duszach ludzi wspomnienia o przodkach, które wydawały się być wykorzenione już dawno. Dawne poczucie przynależności rasowej odradzało się teraz w innej formie, charakteryzującej się nowymi wyrazami. Powszechnie używano takich słów jak „atawizm”² „pokrewieństwa”, „narodowości”. Całe to nowe słownictwo, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu, zawiązało wkrótce miastem. W zależności od pochodzenia, wyglądu fizycznego, poglądów moralnych, interesów czy po prostu klimatu lub regionu, widać było, jak powstające ugrupowania rozrastają się i zaczynają manifestować swoją siłę. Do czego mogła doprowadzić ta ewolucja? Czyżby dopiero co uformowane imperium miało się rozpaść? Czy Mahart Iten Schu zostanie podzielone, jak niegdyś, pomiędzy liczne narody, albo też dla utrzymania jedności trzeba będzie odwołać się do straszliwych hekatomb,³ które kiedyś, tysiące lat temu, uczyły na ziemi jatkę?...

Gwałtownym potrząśnięciem głowy Sofr przepędził te myśli. Przyszłość – ani on, ani nikt inny jej nie znał. Dlaczego więc zasmucać się z góry wydarzeniami, które nie są pewne? Poza tym nie był to odpowiedni dzień do rozmyślenia nad tak straszliwymi przypuszczeniami. Był to dzień radości i należało myśleć jedynie o wielkości prześwieconego Mogar Si, dwunastego cesarza Hars Iten Schu, pod którego berłem prowadzono świat ku przeznaczeniu pełnym chwały.

Zresztą, jako zartog, nie mógł się uskarżać na brak powodów do radości. Poza historykiem, który przedstawił dzieje Mahart Iten Schu, cała plejada uczonych z okazji tak doniosłej rocznicy ustaliła, każdy w swojej specjalności, bilans ludzkiej wiedzy i określiła punkt, do którego wielowiekowym wysiłkiem doprowadziła ona cywilizację. Otóż, o ile pierwszy w pewnym stopniu sugerował smutne refleksje, wspominając długą i męczeńską drogę, jaką ludzkość pokonała od swoich krwawych początków, to następnym dali słuchaczom powody do zasłużonej dumy.

Tak, to prawda, porównanie między tym, jakim był człowiek w chwili pojawienia się na ziemi, bezbronnym i gołym, a tym, jaki jest teraz, skłaniało do podziwu. Przez całe wieki, mimo konfliktów i bratobójczych sporów, ani na chwilę człowiek nie zaniechał walki z naturą, powiększając obszar swojego panowania. Początkowo powolny, dwieście lat temu jego triumfalny pochód nabrał niezwykłego przyspieszenia. Stabilność instytucji politycznych i wynikający z tego ogólny pokój spowodowały wspaniałe rozkwit nauki. Ludzkość przeżyła dzięki mózgowi, a nie wyłącznie kończynom. Myślała, zamiast wyniszczać się w niekończących się wojnach i dlatego w czasie tych dwóch ostatnich wieków coraz szybszym krokiem posuwała się naprzód ku wiedzy i ujarzmieniu materii...

Przemierzając w palącym słońcu długą ulicę Basidry, Sofr szkicował w swoich myślach tablicę osiągnięć człowieka.

Najpierw, co zanikało nieco w pomroce dziejów, ktoś wymyślił pismo, aby można było utrwaląć myśli. Następny wynalazek narodził się pięćset lat później – ktoś inny, dzięki raz złożonej matrycy, znalazł sposób na rozpowszechnianie słowa pisanego w niezliczonej ilości egzemplarzy. Ten właśnie wynalazek przyspieszył wszystkie inne.

To dzięki niemu mózgi wprawione zostały w ruch a inteligencja każdego z nich wzrastała poprzez inteligencję sąsiada; dzięki niemu odkrycia w sensie teoretycznym i praktycznym tak wspaniale się pomnożyły. Od pewnego momentu przestano je nawet liczyć.

Człowiek wniknął do wnętrza Ziemi i dobywał z niego węgiel, hojnego dawcę ciepła. Wyzwolił ukrytą siłę wody i para ciągnęła żelazne wstęgi ciężkich konwojów lub poruszała niezliczone maszyny: mocarne, delikatne i precyzyjne. Dzięki tym maszynom człowiek tkął włókna roślinne i mógł pracować zgodnie z własnymi życzeniami w metalu, marmurze i skale. W mniej konkretnej dziedzinie lub dziedzinie o mniej bezpośrednim zastosowaniu, stopniowo penetrował tajemnicę liczb i coraz lepiej zgłębiał prawdy matematyczne, zbliżając

się ku nieskończoności. Poprzez te prawdy jego myśl przebyła niebo. Wiedział, że Słońce jest tylko gwiazdą, która według rygorystycznych praw płynie w przestrzeni, ciągnąc w swym płomiennym biegu orszak siedmiu planet.⁴ Znał sztukę takiego łączenia niektórych ciał, aby powstawały nowe, nie mające nic wspólnego z pierwszymi, czy też dzielenia innych, złożonych, na ich elementy składowe i pierwotne. Poddawał analizie dźwięk, ciepło, światło i zaczynał określać ich naturę i prawa. Pięćdziesiąt lat wcześniej nauczył się wytwarzać siłę, której straszliwymi przejawami są piorun i błyskawice i natychmiast uczynił z niej swą niewolnicę; już teraz ten tajemniczy nośnik przekazywał zapis na nieograniczoną odległość; jutro przekaże dźwięk; pojutrze, bez wątpienia, światło...⁵ Tak, człowiek był wielki, większy niż olbrzymi wszechświat, któremu pewnego dnia będzie przewodził.

Aby więc mieć pełny obraz i do końca poznać prawdę, pozostał oto ostatni problem do rozwiązania: "Kim był człowiek, pan świata? Skąd pochodził? Do jakich nieznanых kresów podążał jego wysiłek?"

Właśnie ten szeroki problem zartog Sofr omawiał w trakcie ceremonii, z której teraz wyszedł. Oczywiście on go jedynie zasygnalizował, ponieważ rzecz była aktualnie nie do rozwiązania i taką, bez wątpienia, pozostanie jeszcze długo. Kilka niejasnych światełek zaczynało jednak rozświetlać tajemnicę. Z tychże to przebłysków zartog Sofr montował mocniejsze światła, kiedy, systematyzując i cierpliwe zbierając obserwacje swych poprzedników i swoje osobiste spostrzeżenia, doszedł do własnego prawa ewolucji żywej materii, prawa przyjętego obecnie za powszechne i nie mającego żadnego przeciwnika.

Teoria ta opierała się na potrójnym założeniu.

Przede wszystkim na nauce geologii, która narodzona z dniem przeszukiwania wnętrza Ziemi, udoskonalila się wraz z rozwojem eksploatacji górniczej. Skorupa globu była tak doskonale znana, że ośmielono się ustalić jej wiek na czterysta tysięcy lat i na dwadzieścia tysięcy lat wiek Mahart Iten Schu w formie, jaką posiada aktualnie. Niegdyś kontynent ten uśpiony był pod wodami morza, o czym świadczyła gruba warstwa mułów morskich, które pokrywały bez żadnych przerw położone niżej warstwy skalne. Jaki mechanizm pewnego dnia spowodował, że wynurzył się z fal? Bez wątpienia poprzez kurczenie się stygnącego globu. Cokolwiek by to nie było, wynurzenie się Mahart Iten Schu musiało być uznane za pewne.

Nauki przyrodnicze dały Sofrowi dwie inne podstawy jego systemu, wykazując ściśle pokrewieństwo planet i zwierząt. Sofr poszedł dalej: dowiódł, że prawie wszystkie istniejące rośliny wywodziły się od roślin morskich i że prawie wszystkie zwierzęta lądowe i latające pochodziły od zwierząt morskich. Powolna, lecz nieprzerwana ewolucja przystosowywała je powoli do warunków życia, najpierw pobocznych, potem znacznie oddalonych od tych, jakie miały w swym prymitywnym życiu i ze stadium do stadium dały początek większości żyjących form zamieszkujących ziemię i powietrze.

Niestety, ta genialna teoria nie była doskonała. To, że istoty żywe, zwierzęce i roślinne, pochodziły od przodków morskich, wydawało się prawie niezaprzeczalne dla niemal wszystkich, ale właśnie: "niemal wszystkich". Rzeczywiście, istniało kilka roślin i zwierząt, którym trudno byłoby przyznać pochodzenie wodne. To był jeden z dwóch słabych punktów tego systemu.

Człowiek, czego Sofr przed sobą nie ukrywał, był drugim słabym punktem. Między człowiekiem i zwierzętami żadne porównanie nie było możliwe. Owszem, pierwotne funkcje i właściwości, takie jak: oddychanie, odżywanie, poruszanie się, były takie same i dokonywały się lub objawiały sensorycznie w ten sam sposób, ale nieprzekraczalna przepaść pozostawała między formami zewnętrznymi, liczbą i rozmieszczeniem organów. Jeśli większość zwierząt można byłoby połączyć łańcuchem, w którym brakuje niewielu ogniw, z ich przodkami pochodzącymi z morza, podobne połączenie byłoby nie do przyjęcia w stosunku do

człowieka. Aby zachować nienaruszoną teorię ewolucji, konieczne więc stało się stworzenie dodatkowej hipotezy wspólnego protoplasty dla mieszkańców wód i człowieka; protoplasty, którego istnienia w przeszłości nic, ale to absolutnie nic, nie dowodziło.

Kiedyś Sofr miał nadzieję znaleźć w ziemi argumenty potwierdzające jego pogląd. Na jego życzenie i pod jego kierunkiem przez wiele lat przeprowadzano wykopaliska, ale tylko po to, aby dojść do rezultatów diametralnie różnych od tych, jakich oczekiwał.

Po przejściu cienkiej powłoki humusu⁷ powstałego na skutek rozkładu roślin i zwierząt, podobnych lub analogicznych do tych, jakie widziało się na co dzień, dotarto do grubej warstwy namułu, gdzie świadectwa przeszłości zmieniły swą naturę. W tym namule nie było już flory ani fauny istniejącej, ale wielkie nagromadzenie skamieniałości wyłącznie morskich, których potomkowie żyli jeszcze, najczęściej w oceanach otaczających Mahart Iten Schu.

Co należało wywnioskować, jeżeli nie to, że geolodzy mieli rację, twierdząc, że kontynent był niegdyś dnem oceanów i że Sofr nie mylił się, twierdząc, że fauna i flora dzisiejsza pochodzą z morza. Ponieważ, poza wyjątkami tak rzadkimi, że miano prawo uznać je za wybryki natury, formy wodne i ziemne były jedynymi, których ślady odkrywano, jedno i drugie niewątpliwie były spokrewnione ze sobą... Niestety, nie udało się uogólnić systemu, ponieważ odkryto jeszcze inne znaleziska. Rozrzucone w całej warstwie humusu, aż do partii wierzchniej złóż namułowych, zostały wyciągnięte na światło dzienne niezliczone kości ludzkie. Nie było nic szczególnego w ich budowie, toteż Sofr musiał odrzucić teorię organizmów wcześniejszych, a których istnienie potwierdziłoby jego teorię. Kości te były szkieletami ludzkimi, ni mniej ni więcej.

Jednakowoż pewna osobliwość, dość znacząca, została stwierdzona już wkrótce. Aż do pewnego okresu, który wstępnie oceniany był na dwa lub trzy tysiące lat, im starszy był szkielet, tym mniejsza była wielkość czaszki. Natomiast przeciwnie, poniżej tego stadium progresja się odwróciła – im bardziej zagłębiano się wstecz, tym większa stawała się wielkość czaszek, a więc i pojemność mózgów, jakie zawierały. Największe stwierdzono pośród szczątków, skądinąd bardzo rzadkich, znalezionych na powierzchni warstwy namułowej. Szczegółowa analiza tych szacownych resztek nie pozwoliła wątpić, że ludzie, żyjący w owej odległej epoce, osiągnęli rozwój mózgu o wiele wyższy niż ich potomkowie, biorąc też pod uwagę współczesnych Sofrowi. W czasie stu sześćdziesięciu lub stu siedemdziesięciu wieków miała więc miejsce znaczna regresja, po której nastąpił nowy rozwój.

Sofr, wstrząśnięty tymi dziwnymi faktami, kontynuował dalej swe poszukiwania. Warstwa namułu została przebita w wielu miejscach na takiej grubości, że według najostrożniejszych opinii złoza miały więcej niż piętnaście lub dwadzieścia tysięcy lat. Poniżej, niespodzianką było odkrycie nikłych resztek starego humusu. Potem, jeszcze głębiej, w zależności od miejsca poszukiwań, występowała skała o zróżnicowanym składzie. Ale Sofra najbardziej zadziwiły znalezione w tych tajemniczych głębinach szczątki ludzkie. Były to należące do ludzi części kości, oraz fragmenty broni lub maszyn, kawałki garnków, tabliczki z napisami w nieznanym języku, precyzyjnie obrobione krzemienie, czasem wyrzeźbione w formie niemal nienaruszonych figurek, delikatnie zdobione kołpaki itd... itd... Z całości tych znalezisk logicznie wywnioskowano, że około czterdzieści tysięcy lat wcześniej, to znaczy dwadzieścia tysięcy przed momentem, gdy pojawili się nie wiadomo skąd, ani jak, pierwsi reprezentanci współczesnej rasy, w tych samych miejscach żyli już ludzie i doszli do mocno zaawansowanej cywilizacji.

Taki w efekcie był ogólnie przyjęty wniosek. Miał on jednak co najmniej jednego przeciwnika.

Tym przeciwnikiem był nie kto inny, jak sam Sofr. Założenie, że inni ludzie, oddzieleni od swych sukcesorów przepaścią dwudziestu tysięcy lat, mogli jako pierwsi zaludnić Ziemię, byłoby, według niego, czystym szaleństwem. Skąd przybyliby, w tym przypadku ci

potomkowie przodków od dawna nieistniejących i z którymi nie mają żadnego powiązania? Raczej lepiej poczekać niż przyjąć hipotezę tak absurdalną. Z tego, że te niektóre fakty nie zostały wyjaśnione, nie należało wnioskować, że są niewyjaśnialne. Kiedyś zostaną zinterpretowane. Do tego czasu lepiej nie zastanawiać się nad nimi i pozostawać przy zasadach, które zadowolają zdrowy rozsądek. Życie planety dzieli się na dwie fazy: przed człowiekiem i człowieczą. W pierwszej ziemia w stanie stałych zmian nie była zamieszkiwana i nie nadawała się do zamieszkania. W drugiej fazie skorupa ziemską osiągnęła stopień spójności dający stabilność. Wkrótce też na solidnym podłożu pojawiło się życie; zaczęło się najprostszymi formami i, przechodząc w coraz bardziej skomplikowane, osiągnęło ostatnią i najdoskonalszą postać – człowieka. Od chwili swojego zaistnienia na ziemi człowiek rozpoczął i bezustannie kontynuuje swój rozwój. Powolnym, lecz zdecydowanym krokiem zdąża ku szczytowi, jakim jest doskonała wiedza i absolutna dominacja nad wszechświatem...

Zawładnięty gorączką swoich myśli, Sofr minął swój dom. Gderając, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

“Jakże to! – mówił do siebie. – Gdyby założyć, że człowiek czterdzieści tysięcy lat temu osiągnął cywilizację porównywalną, jeśli nie wyższą od tej, którą cieszymy się dzisiaj, a jego umiejętności i osiągnięcia zniknęły, nie pozostawiając najmniejszego śladu, może to zniechęcić jego potomków do rozpoczynania dzieła od podstaw, wzorem pionierów niezamieszkałego wcześniej świata... Ale to oznaczałoby negowanie przyszłości. Zakładać, że nasz wysiłek jest daremny a cały postęp równie nietrwały jak bańka piany na powierzchni wód?!”

Sofr zatrzymał się przed swoim domem.

“Upsa ni!... hartchok!...” [Nie, nie!... tak naprawdę!...] “Andart mir’hoeh spha!...” [Człowiek jest panem sytuacji!...] – wymruczał, popychając drzwi.

Po krótkim odpoczynku zartog zjadł z apetytem obiad i ułożył się do codziennej sjesty. Ale pytania, które rozważał w drodze do domu, nie dawały mu spokoju i odbierały sen.

Bez względu na przemożną chęć ustalenia spójności zasad w przyrodzie posiadał on zbyt dużo zmysłu krytycznego, aby nie zauważyć słabości swojego systemu, gdy chodziło o problem pochodzenia i kształtowania się człowieka. Dostosować fakty do wstępnej hipotezy to doskonały sposób na zdobycie racji przeciwko innym, ale nie przeciwko sobie.

Gdyby Sofr nie był uczonym, świetnym zartogiem, lecz należał do klasy analfabetów, nie miałby takich problemów. Istotnie, lud, nie tracąc czasu na zbyt głębokie spekulacje, zadowolając się, przymykając oczy, starą legendą, która od niepamiętnych czasów przekazywana była z ojca na syna. Wyjaśniając jedną tajemnicę – inną, tłumaczyła ona pochodzenie człowieka działaniem siły wyższej. Pewnego dnia ta pozaziemska siła stworzyła z niczego Hedoma i Hiwę, pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę, których potomkowie zaludnili Ziemię. W ten sposób wszystko układało się bardzo prosto.

“Zbyt prosto! – pomyślał Sofr. – Kiedy traci się nadzieję na zrozumienie czegoś, najłatwiej odwołać się do boskiej działalności; w ten sposób nie trzeba szukać rozwiązań zagadek wszechświata; problemy przestają być problemami w chwili ich zaistnienia.

Gdyby chociaż ta ludowa legenda powstała na solidnej, poważnej podbudowie!... Ale ona nie jest niczym poparta. Jest to tylko tradycja, zrodzona w wiekach ciemnoty i przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ale to imię: «Hedom!» Skąd pochodzi to dziwaczne słowo o obcym brzmieniu i które wydaje się nie mieć nic wspólnego z językiem Andarti Iten Schu? Jeden maleńki problem filozoficzny, w obliczu którego błędą całe zastępy uczonych, nie znajdując zadowolającej odpowiedzi... zostawmy to! Wszystko to bzdura niegodna uwagi zartoga.”

Rozdrażniony Sofr zszedł do ogrodu, ponieważ była to pora w której zazwyczaj to czynił.

Zachodzące słońce lało na ziemię mniejszy żar i łagodny wiatr zaczynał wiać znad Spon Schu. Zartog błędził alejkami w cieniu drzew, których drżące liście szeptały na wietrze. Powoli jego nerwy wracały do zwykłej równowagi. Mógł pozbyć się swoich absorbujących myśli, cieszyć się spokojnie świeżym powietrzem, interesować owocami, bogactwem ogrodu i jego ozdobą, kwiatami.

Przypadkowy spacer przywiódł go z powrotem w pobliże domu i Sofr zatrzymał się nad brzegiem wykopu, w którym tkwiły liczne narzędzia. Wynurzały się z niego dopiero co powstałe fundamenty nowej konstrukcji, która miała podwoić powierzchnię jego laboratorium. Ale w ten świąteczny dzień robotnicy porzucili pracę i oddali się zabawie.

Sofr na oko oceniał wykonaną pracę oraz tę, która pozostała do wykonania, kiedy w półmroku wykopu jego uwagę przyciągnął błyszczący punkt. Zaintrygowany zszedł na dno jamy i usunął z dziwnego przedmiotu ziemię, która pokrywała go w trzech czwartych.

Zartog, powróciwszy do dziennego światła, zaczął oglądać znalezisko. Był to rodzaj etui,⁸ wykonanego z nieznanego szarego metalu, o ziarnistej teksturze,⁹ którego długi pobyt w ziemi pozbawił połysku. W jednej trzeciej długości widniała rysa, która wskazywała, że etui składało się z dwóch zamykających się ze sobą części. Sofr spróbował je otworzyć.

Przy pierwszym ruchu metal, zwietrzały na skutek działalności czasu, zamienił się w proch odkrywając drugi, ukryty w nim przedmiot. Materiał, z którego był wykonany, był zartogowi równie nieznanym jak ten, który go do tej pory chronił. Był to zwój kartek pokryty dziwnymi znakami, których regularność wskazywała na rodzaj pisma, jakiego to, ani nawet jemu podobnego, zartog nigdy nie widział. Drżąc cały z emocji, Sofr zamknął się w swoim laboratorium i, po ostrożnym rozłożeniu cennego dokumentu, zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że było to pismo. Lecz równie pewnym był fakt, że nie przypominało ono żadnego z tych, jakie w czasach historycznych używano na całej Ziemi.

Skąd pochodził ten dokument? Co oznaczał? Te dwa pytania natychmiast narodziły się w umyśle Sofra.

Chcąc odpowiedzieć na pierwsze, należało znaleźć odpowiedź na drugie. Należało więc tekst najpierw odcyfrować, a następnie przetłumaczyć, jako że język dokumentu mógł się okazać w równym stopniu nieznanym, co jego pismo. Czyżby to było niemożliwe? Zartog Sofr nie zastanawiał się nad tym dłużej, ale gorączkowo przystąpił do pracy.

Robota ciągnęła się długo, bardzo długo, całe długie lata. Sofr pracował bez wytchnienia. Nie zniechęcając się, kontynuował metodyczne badania tajemniczego dokumentu, zdążając powoli do rozwiązania zagadki. Nadszedł w końcu dzień, w którym znalazł klucz do tego skomplikowanego "rebusu". Następnie nadszedł moment, kiedy z wielkim niedowierzaniem i wysiłkiem mógł przetłumaczyć tenże "rebus" na język Ludzi Czterech Mór. Tego dnia zartog Sofr Ai Sr mógł przeczytać:

Rosario, 24 maja 2...

W ten oto sposób zaczynam moje zapiski, chociaż w rzeczywistości są one spisywane dużo później i w innym miejscu. Jednakże porządek jest według mnie niezbędny i dlatego przyjąłem formę dziennika pisanego z dnia na dzień.

Dwudziestego czwartego maja zaczynam opis niezwykłych wydarzeń, które dzieją się teraz, celem przekazania ich tym, którzy przyjdą po mnie, o ile jeszcze ludzkość ma nadzieję liczyć na jakąkolwiek przyszłość.

W jakimże języku mam pisać? W angielskim czy hiszpańskim, którymi mówię biegle? Nie! Będę pisał w języku mojego kraju – po francusku.



Tego właśnie dnia zebrałem kilku przyjaciół w mojej willi w Rosario. Rosario jest, a raczej było, miastem w Meksyku, na wybrzeżu Pacyfiku, nieco na południe od Zatoki Kalifornijskiej. Mieszkalem tam około dziesięciu lat, kierując eksploatacją w kopalni srebra, która była moją własnością. Sprawy moje szły zadziwiająco dobrze. Byłem człowiekiem bogatym, nawet bardzo bogatym – słowa te bardzo mnie dzisiaj bawią – i zamierzałem wkrótce powrócić do mojej prawdziwej ojczyzny, Francji.

Willi moja, jedna z najbardziej luksusowych, znajdowała się w centralnym miejscu rozległego parku, schodzącego do morza i kończącego się gwałtownie na pionowej skarpie o ponad stumetrowej wysokości. Na tyłach willi teren wznosił się, i dzięki krętym drogom można było osiągnąć grzbiet gór, których wysokość przekraczała tysiąc pięćset metrów. Czasami była to cudowna wyprawa, którą odbywałem samochodem, wspinałym i potężnym Faetonem¹⁰ o trzydziestu pięciu koniach mechanicznych, jednym z najlepszych samochodów francuskich.

Mieszkając w Rosario z moim synem, Jeanem, miłym dwudziestolatkiem, przygarnąłem bliską memu sercu Helenę, sierotę, która po śmierci rodziców została bez środków do życia. Minęło pięć lat. Jean miał dwadzieścia pięć lat, a moja wychowanica dwadzieścia. W głębi serca przeznaczyłem ich sobie.

Służba nasza składała się z lokaja Germaina, rozsądnego szofera Modesta Simonata i dwóch kobiet, Edith i Mary, córek mego ogrodnika George'a Raleigha i jego żony Anny. Tego właśnie dnia, dwudziestego czwartego maja, siedzieliśmy w osiem osób przy stole, w ogrodzie oświetlonym lampami, które były zasilane elektrycznie. Znajdowało się tam więc, oprócz pana domu, jego syna i wychowawcy, pięciu innych gości, z których trzech było rasy

anglosaskiej, a dwóch pochodzenia meksykańskiego. Do pierwszych należał doktor Bathurst, a doktor Moreno do drugich. Byli to dwaj uczeni w pełnym tego słowa znaczeniu, co wcale nie świadczyło o zgodności ich przekonań. Poza tym ci niezwykli ludzie byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Dwaj pozostali Anglosasi to Williamson, właściciel poważnego przedsiębiorstwa rybnego z Rosario, i Rowling, śmiałek, który na obrzeżach miasta założył plantację wczesnych warzyw, z czego czerpał niesamowite zyski. Co do ostatniego gościa, był nim *señor*¹¹ Mendoza, przewodniczący sądu Rosario, człowiek godny szacunku, światły umysł i nieprzekupny sędzia.

Dotarliśmy szczęśliwie do końca posiłku bez żadnych incydentów. Słowa wypowiedziane do tego momentu uleciały z mojej pamięci, w przeciwieństwie do tych, które padły podczas palenia cygar. Nie dlatego, że były one same w sobie szczególnie ważne, ale brutalny komentarz, który miał wkrótce nastąpić, nadał im pewne znaczenie. Dlatego też na zawsze zostały w moim umyśle. Doszliśmy – jakież to już nieważne! – do tematu najwspanialszych osiągnięć człowieka. Doktor Bathurst powiedział w pewnym momencie:

– Pewne jest, że gdyby Adam – oczywiście jako Anglosas wymawiał *Edem* – i Ewa – wymawiał *Iva* – wrócili na ziemię, byłiby niezwykle zdziwieni!

To stało się początkiem dyskusji. Zapalony darwinista¹² Moreno, zawzięty zwolennik teorii doboru naturalnego, ironicznym tonem zapytał go, czy rzeczywiście wierzy w legendę o ziemskim raju. Bathurst odpowiedział, że przynajmniej wierzy w Boga, oraz że istnienie Adama i Ewy było potwierdzone przez Biblię, i powstrzymał się od dalszej dyskusji. Moreno odparł, że wierzy w Boga nie mniej od swojego rozmówcy, ale że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta mogli stanowić jedynie mit, symbol, i że nie ma w tym nic bluźnierczego. W konsekwencji, zakładając, Biblia chciała w ten sposób wyobrazić tchnienie życia wprowadzone przez twórczą siłę do pierwszej komórki, z której powstały następnie wszystkie inne. Bathurst odrzekł, że wyjaśnienie to jest pozornie słuszne, ale jeśli o to chodzi, bardziej mu pochlebia stanowić bezpośrednie dzieło boże, niż pośrednio być mniej lub bardziej prymitywnym stopniem rozwoju naczelnych.

Obserwowałem moment, w którym dyskusja nabierała kolorów, gdy nagle urwała się, ponieważ przeciwnicy przez przypadek znaleźli mniej kontrowersyjny temat. W ten oto sposób cała sprawa zakończyła się pomyślnie.

Tym razem, wracając do pierwszego tematu, dwóch dyskutantów pogodziło się co do pochodzenia ludzkości i wysokiej kultury, jaką osiągnęła. Wymieniali z dumą jej owoce. Bathurst sławił chemię, rozwiniętą do tego stopnia, że narodziła się tendencja prowadząca do jej usunięcia poprzez połączenie z fizyką; te dwie dziedziny stanowiły już jedno, obierając za cel badań immanentną¹³ energię. Moreno czynił pochwały medycynie i chirurgii, dzięki którym zgłębiono tajemnicę fenomenu życia i których zdumiewające odkrycia pozwalają spodziewać się w przyszłości nieśmiertelności żywych organizmów. Następnie obaj pogratulowali sobie wysokich osiągnięć w astronomii. Nie rozwijano jednak tego tematu, czekając na gwiazdy i siedem planet układu słonecznego.

Zmęczeni własnym entuzjazmem dwaj apologety¹⁴ postanowili trochę odpocząć. Pozostali goście skorzystali z tego aby wtrącić słowo, po czym wkroczone w rozległy temat praktycznych wynalazków, które tak bardzo zmodyfikowały warunki życia ludzi. Wychwalano kolej żelazną i parowce, służące do transportu artykułów ciężkich; statki powietrzne używane przez podróżnych, którzy oszczędzali czas; tuby pneumatyczne i elektroniczne¹⁵ przemierzające lądy i morza, wykorzystywane przez spieszących się ludzi. Opiewano niezliczone maszyny, jedne bardziej pomysłowe od drugich, z których jedna, w niektórych fabrykach, wykonuje pracę stu ludzi. Chwalono drukarstwo, fotografię kolorów i światła, dźwięku, ciepła i wszystkich wibracji eteru. Przede wszystkim chwalono jednak elektryczność, czynnik tak podatny, tak posłuszny i tak doskonale znany w swych

właściwościach i w swej istocie, że pozwala bez przeszkód na odległość uruchomić każdy mechanizm bądź kierować łodzią podwodną, nawodną czy powietrzną. Umożliwia on też porozumiewanie się na odległość: rozmowę, pisanie, wizję.

Był to prawdziwy dytyramb,¹⁶ którego autorem częściowo, przyznaję, byłem ja sam. Zgodziliśmy się wszyscy w tym punkcie, że ludzkość osiągnęła poziom intelektualny nieznany dotychczas przed naszymi czasami, co upoważnia do wiary w całkowite jej zwycięstwo nad naturą.

– Tymczasem – zabrał głos sędzia Mendoza, korzystając z momentu ciszy, który nastąpił po końcowej konkluzji – pozwolę sobie zauważyć, że ludy, które zniknęły, nie pozostawiając najmniejszego śladu, dotarły już do cywilizacji równej lub analogicznej do naszej.

– Jakże? – zapytali jednocześnie wszyscy zgromadzeni.

– Hm... na przykład Babilończycy...

Spowodowało to wybuch śmiechu. Ośmielić się porównywać Babilończyków do ludzi współczesnych!

– Egipcjanie... – kontynuował don¹⁷ Mendoza spokojnie, a wokół niego rozbrzmiewał coraz głośniejszy śmiech.

– ... Jak również Atlantydzi, z których nasza własna ignorancja stworzyła legendę – ciągnął przewodniczący sądu. – Zauważcie, że przed Atlantydami mogła istnieć cała nieskończoność innych cywilizacji, które narodziły się, rozkwitły, a następnie zniknęły, o czym my możemy nie mieć najmniejszego pojęcia.

Ponieważ don Mendoza upierał się przy swojej niedorzecznej tezie, postanowiono w końcu, aby go nie drażnić, sprawiać wrażenie, że bierze się ją na poważnie.

– Ależ, mój drogi sędzio – zaczął Moreno, przyjmując ton jakim mówi się do dziecka – nie chce pan chyba utrzymywać, że jakkolwiek z tych dawnych ludów może być porównywany do nas? W sferze duchowej – przyznaję, że mogli oni rozwijać się na równym naszemu poziomie kulturalnym, ale w sferze materialnej?!

– Dlaczego nie? – zdziwił się don Mendoza.

– Ponieważ – pospieszył z wytłumaczeniem Bathurst – istotą naszych wynalazków jest ich nieustanne odtwarzanie na całej Ziemi: zniknięcie jednego ludu lub nawet większej ilości ludów, spowodowałoby utratę całej masy dokonanych odkryć. Trzeba by jednoczesnego zniknięcia całej ludzkości, żeby całkowity dorobek ludzki został utracony. Czy to jest, według pana, hipoteza możliwa do przyjęcia?

Podczas gdy tak dyskutowaliśmy, przyczyny i skutki same się nawzajem kształtowały w nieskończoności wszechświata i, po niespełna minucie, jedynym rezultatem pytania, jakie postawił doktor Bathurst, było usprawiedliwienie sceptycyzmu Mendozy. Lecz my nie mieliśmy co do tego żadnych podejrzeń i rozprawialiśmy spokojnie, jedni oparci na krzesłach, inni wsparci na stole, patrząc na Mendozę, który jak przypuszczaliśmy, przytłoczony został repliką Bathursta.

– Przede wszystkim – odpowiedział spokojnie przewodniczący sądu – wiadomym jest, że na ziemi było niegdyś mniej mieszkańców niż obecnie; w ten sposób jeden lud mógł posiadać wyłącznie dla siebie całą wiedzę świata. Następnie – nie widzę nic absurdałnego w tym, co mówię – cała powierzchnia globu mogła być zniszczona w tym samym czasie.

– Cóż za niedorzeczność! – zakrzyknęliśmy wszyscy razem.

I w tym właśnie momencie rozpoczęła się katastrofa.

Jeszcze nie skończyliśmy: “Cóż za niedorzeczność!”, gdy nagle podniósł się niesłychany hałas. Ziemia drżała i uciekała nam spod nóg, willa trzęsła się w posadach. Wstrząsani i wywracani, padając ofiarą niewypowiedzianej grozy, rzuciliśmy się na zewnątrz. Zaledwie przekroczyliśmy próg, gdy cały dom zawalił się, grzebiąc pod swymi gruzami sędziego

Mendozę i mojego lokaja Germaina, którzy biegli jako ostatni. Po kilku sekundach ruszyliśmy im z pomocą, gdy nagle zauważyliśmy mego ogrodnika Raleigha, biegnącego razem z żoną w dół ogrodu, gdzie mieszkał.

– Morze!... Morze! – krzyczał z całych sił.

Odwróciłem się w stronę oceanu i zamarłem w bezruchu, wprawiony w osłupienie. Nie dlatego, że zdawałem sobie sprawę z tego, co zobaczyłem, ale miałem wyraźne wrażenie, że zwykła perspektywa uległa zmianie. Czyż nie wystarczy jednak, żeby zmrozić serce przerażeniem to, że wygląd natury, tej, którą uważamy w istocie za niezmienną, uległ tak gwałtownej zmianie w ciągu kilku sekund? Wówczas nie zwlekałem jednak z odzyskaniem zimnej krwi. Prawdziwa przewaga człowieka nie polega na dominowaniu i pokonywaniu natury ale na myśleniu o niej, rozumieniu jej, na próbie odtworzenia niezmiernego wszechświata w mikrokosmosie swojego mózgu. To do człowieka czynu należy zachowanie niezmaconego umysł w obliczu przewrotu materii i stwierdzenie: “Zniszczyć mnie, dobrze! Poruszyć – nigdy!”

Skoro tylko odzyskałem swój zwykły spokój, zrozumiałem, czym różnił się obraz, który miałem przed oczami od tego, który zwykłem kontemplować.¹⁸ Skarpa po prostu zniknęła i ogród mój obniżył się do poziomu morza, którego fale, po unicestwieniu domu ogrodnika, uderzały wściekle o najniższe położone ogrodzenie.

Ponieważ było mało prawdopodobne, że poziom wody wzrósł, logiczne było, że osunęła się ziemia. Osunięcie to przekraczało sto metrów, ponieważ takiej właśnie wysokości była skarpa. Musiało to nastąpić bardzo łagodnie, gdyż w ogóle tego nie zauważyliśmy, co wyjaśniałoby względny spokój oceanu.

Krótki rzut oka przekonał mnie o słuszności mego przypuszczenia i pozwolił między innymi stwierdzić, że opadanie trwało nadal. W efekcie morze nadal zwyciężało i posuwało się z szybkością około dwóch metrów na sekundę, czyli około siedmiu kilometrów na godzinę. Uwzględniając odległość jaka nas dzieliła od pierwszych fal, mogliśmy stwierdzić, że zostaniemy pochłonięci w ciągu trzech minut, jeśli prędkość osuwania nie zmniejszy się.

Moja decyzja była błyskawiczna.

– Do auta! – krzyknąłem.

Zrozumiano mnie. Skierowaliśmy się wszyscy w stronę garażu i auto znalazło się na zewnątrz. W mgnieniu oka stłoczyliśmy się w samochodzie. Mój szofer Simonat uruchomił silnik, zasiadł za kierownicą, nacisnął sprzęgło i ruszył w drogę z wielką prędkością, podczas gdy Raleigh, po otwarciu ogrodzenia, chwycił się przejeżdżającego auta i uczeplił się tylnych resorów. Najwyższy czas! W momencie, w którym auto sięgnęło drogi, powiew mokrego wiatru, rozpryskując się, umoczył koła wozu. Ha! Od tej chwili mogliśmy śmiać się z pościgu morza. Dokonując niezwykłego wysiłku, moja dobra maszyna mogła nas przenieść poza jego zasięg, chyba żeby osuwanie w przepaść miało trwać w nieskończoność. W sumie mieliśmy przed sobą co najmniej dwie godziny jazdy w górę na wysokość około tysiąca pięciuset metrów. Jednakże stwierdziłem, że nie należy spieszyć się z ogłaszaniem zwycięstwa. Po pierwszym skoku pojazdu, który nas przeniósł o dwadzieścia metrów od piany morskiej, dystans nie ulegał zmianie i Simonat na próżno dociskał pedał gazu do końca. Bez wątpienia ciężar dwunastu osób zmniejszył prędkość samochodu. Niemniej jednak prędkość ta była dokładnie równa prędkości wody, która niezmiennie pozostawała w tej samej odległości.

Wkrótce wszyscy oprócz Simonata, zajętego prowadzeniem samochodu, zdali sobie sprawę z tej niepokojącej sytuacji. Popatrzyliśmy w tył na drogę, którą zostawialiśmy za sobą. Nie było widać nic prócz wody. W miarę jak oddalaliśmy się, droga zniknęła w morzu, które ją pochłaniało. Morze uspokoiło się. Nieliczne fałdki ginęły na coraz to nowym brzegu. Było to spokojne jezioro, które wciąż rosło i rosło jednostajnie, i nie było nic równie przerażającego, jak ten przybór spokojnej wody. Na próżno uciekaliśmy przed nią, woda nieugięcie podążała

za nami.



Simonat, który uparcie wpatrywał się w drogę, odwrócił się i rzekł do nas:

– Jesteśmy w połowie zbocza. Jeszcze tylko godzina drogi.

Zadrżeliśmy. Za godzinę osiągniemy szczyt i będziemy musieli zjeżdżać w dół. Masa wody spłynie lawiną tuż za nami i pochłonie nas niezależnie od szybkości z jaką będziemy jechać. Godzina minęła bez jakiegokolwiek zmiany w naszej sytuacji. Już, już dosięgaliśmy szczytu zbocza, kiedy nagle samochód uległ gwałtownemu wstrząsowi, przez który o mało co nie roztrzaskał się na poboczu drogi. Tymczasem ogromna fala wezbrała tuż za nami, biegła drogą, wznosiła się i opadała; rozpryskała się w końcu na samochodzie, otaczając go pianą... Czyżbyśmy mieli być zatopieni?...

Nie! Woda opadła sycząc, a silnik, przyspieszając nagle pracę, zwiększył prędkość. Skąd pochodził ten nagły wzrost prędkości? Uświadomił nam to krzyk Anny Raleigh: ta biedna kobieta zdała sobie sprawę, że męża jej nie ma już na resorach samochodu. Z pewnością wstrząs oderwał nieszczęśnika i dlatego odciążony samochód żwawiej pokonywał wzniesienie.

Nagle zatrzymał się.

– Co się stało? – zapytałem Simonata. – Awaria?

Nawet w tragicznych okolicznościach duma zawodowa nie traci swoich praw. Simonat podniósł ze wzgardą ramiona, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że awaria jest nieznaną

szoferowi jego klasy, i spokojnie wskazał ręką na drogę. Wszystko stało się jasne.

Droga urywała się mniej więcej dziesięć metrów przed nami. “Była urwana” jest wyrażeniem właściwym, jeśli ma się na myśli “ucięta nożem”. Dalej była pustka, otchłań ciemności, na dnie której niemożliwością było cokolwiek odróżnić. Popatrzeliśmy za siebie, zagubieni, pewni, że wybiła nasza ostatnia godzina. Ocean, który ścigał nas do tej wysokości, pochłonie nas za kilka sekund...

Wszyscy, z wyjątkiem nieszczęśliwej Anny i jej córek, które szlochały z całej duszy, krzyknęliśmy mile zaskoczeni. Nie! Woda nie podążała za nami – raczej ziemia przestała się zapadać. Bez wątpienia wstrząs, jaki przeżyliśmy, był ostatnim przejawem zjawiska. Ocean zatrzymał się i pozostawał jakieś sto metrów od miejsca, w którym staliśmy wokół auta z pracującym jeszcze silnikiem, przypominającego zadyszane po szybkim biegu zwierzę.

Czy uda nam się wydobyć z potrzasku? Mogliśmy się dowiedzieć o tym dopiero w dzień. A na razie należało czekać. Jedno po drugim, wyciągnęliśmy się więc na ziemi i, wydaje mi się, przebac mi Panie, że zasnęłam!

W nocy

Skoczyłem na nogi obudzony niezwykłym hałasem. Która godzina? Nie wiem. W każdym razie otaczały nas jeszcze ciemności nocy.

Hałas dobiegał z nieprzeniknionej mgły, w której pogrążona była droga. Co się dzieje?... Wydawałoby się, że olbrzymie masy wody spadają wodospadem albo olbrzymie ostrza ocierają się o siebie gwałtownie. Tak, to musiało być to, bo kłęby piany docierały aż do nas i okryci byliśmy mgłą.

Po czym spokój powoli zaczynał wracać... Następowwała cisza... Niebo jaśniało... Wstawał dzień.

25 maja

Cóż za ulga, kiedy stopniowo mogliśmy określać naszą rzeczywistą sytuację! Na początku rozróżnialiśmy zaledwie najbliższe otoczenie, ale pole naszego widzenia powiększało się, powiększało bez końca, jakby nasza krucha nadzieja podnosiła jedną po drugiej nieskończoną ilość delikatnych zasłon. Wreszcie oto światło pełnego dnia rozwiało nasze ostatnie złudzenia.

Nasza sytuacja była jasna i można ją przedstawić w kilku słowach: byliśmy na wyspie. Morze otaczało nas z każdej strony. Jeszcze poprzedniego dnia dostrzeżlibyśmy wiele szczytów, z których niejeden przewyższał ten, na którym się znajdowaliśmy. Zniknęły; tymczasem nasz, bardziej od nich niepozorny, z przyczyn, które nigdy nie będą nam znane, zatrzymał się w swoim powolnym upadku. W miejscu pozostałych rozpościerała się niczym nieograniczona tafla wody. Ze wszystkich stron nic, tylko morze. Zajmowaliśmy jedyny stały punkt w olbrzymim okręgu wytyczonym przez horyzont. Wystarczył nam jeden rzut oka aby ocenić w całej jej rozciągłości wysepkę, na której niezwykle szczęście pozwoliło nam znaleźć schronienie. Istotnie, nie była duża – najwyżej tysiąc metrów długości i pięćset metrów szerokości. Na południu, zachodzie i północy wznosiła się na około sto metrów nad poziomem wody i łączyła z morzem łagodnym zboczem. Natomiast od wschodu kończyła się stromym uskokiem.

Ta właśnie strona przyciągnęła nasz wzrok. W tym kierunku powinniśmy byli zobaczyć spiętrzone góry, a dalej cały Meksyk. Ileż zmian w ciągu jednej krótkiej, wiosennej nocy! Góry zniknęły, Meksyk zatopiony! Na ich miejscu – niekończąca się pustynia, pustynia wypełniona morzem!

Patrzyliśmy na siebie przerażeni. Uwięzieni, bez środków do życia, bez wody, na tej skale stromej i pozbawionej wszelkiej roślinności, nie mogliśmy mieć nawet cienia nadziei.

Zrozpaczeni, położyliśmy się na ziemi i zaczęło się wyczekiwanie na śmierć.

Na pokładzie Virginii, 4 czerwca

Co zdarzyło się w ciągu następnych dni? Nie pamiętam nic. Prawdopodobnie straciłem przytomność. Świadomość odzyskałem dopiero na pokładzie statku, który nas zabrał. A dopiero tutaj dowiaduję się, że na wysepce spędziliśmy całe dziesięć dni i że dwóch spośród nas, Williamson i Rowling, zmarło tam z głodu i pragnienia. Z piętnastu osób, które schroniły się w mojej willi w momencie katastrofy, ocalało zaledwie dziewięć: mój syn Jean i moja wychowawca Helena, mój niepokieszony po stracie pojazdu szofer Simonat, Anna Raleigh i jej dwie córki, doktorzy Bathurst i Moreno, i wreszcie ja, który spieszę napisać te strony celem pouczenia potomności, o ile oczywiście takowa się narodzi.

Virginia, na której pokładzie przebywamy, jest połączeniem parowca i żaglowca, statkiem o wyporności około dwóch tysięcy ton, przeznaczonym do transportu towarów. Jest to dosyć stara, wysłużona łajba. Kapitan Morris ma na swoje rozkazy dwudziestu ludzi. Kapitan i załoga są Anglikami. *Virginia* opuściła Melbourne trochę więcej niż miesiąc temu, w kierunku wschodnim, kierując się do Rosario. W czasie jej podróży nie zdarzył się żaden wypadek, nie licząc, w nocy z 24 na 25 maja, serii fal powstałych przy dnie, o niezwyklej wysokości, ale proporcjonalnej długości, co sprawiło, że nie były one groźne. Chociaż te fale nie były zwyczajne, kapitan nie mógł na ich podstawie przewidzieć kataklizmu, który rozgrywał się w tym samym momencie. Dlatego był bardzo zdziwiony, kiedy w miejscu, gdzie spodziewał się spotkać Rosario i meksykański brzeg, widział tylko bezkresne morze. Z wybrzeża pozostała tylko wysepka. Do tej wysepki, na której odkryto jedenaście ciał leżących bez życia, przyplłynęła szalupa *Virginii*. Dwa z nich były już trupami; pozostałych dziewięć zabrano. W ten oto sposób zostaliśmy uratowani.

Na łądzie. Styczeń lub luty

Osiem miesięcy dzieli ostatnie z poprzednich linijek od tych, które teraz zapiszę. Zamieszczam je pod datą styczeń lub luty z braku większej precyzji, ponieważ nie mam już dokładnego poczucia czasu.

Te osiem miesięcy, kiedy stopniowo poznawaliśmy ogrom naszego nieszczęścia, stanowią najstraszliwszy okres naszych przeżyć.

Po uratowaniu nas, *Virginia* całą mocą pary kontynuowała swój kurs na wschód. Kiedy doszedłem do siebie, wysepka, na której o mały włos nie umarliśmy, zniknęła już za horyzontem. Jak wskazywał kurs, który kapitan obliczył przy bezchmurnym niebie, płynęliśmy do miejsca, w którym powinno być miasto Meksyk. Lecz po stolicy kraju nie pozostał żaden ślad, nic więcej poza tym, co znaleziono, podczas gdy byłem nieprzytomny. Gdzie środkowe góry? Nie widać było żadnego ładu w zasięgu wzroku; zewsząd tylko niekończące się morze. Było w tym stwierdzeniu coś naprawdę oszałamiającego. Byliśmy bliscy postradania zmysłów. Jak to? Cały Meksyk zatopiony?!... Wymienialiśmy zrozpaczone spojrzenia, zadając sobie pytanie, dokąd sięgają spustoszenia tego zatrwającego kataklizmu...

Kapitan, chcąc mieć czyste sumienie, skierował statek na północ. Jeśli nawet Meksyk przestał istnieć, niemożliwe aby to samo stało się z całym kontynentem amerykańskim.

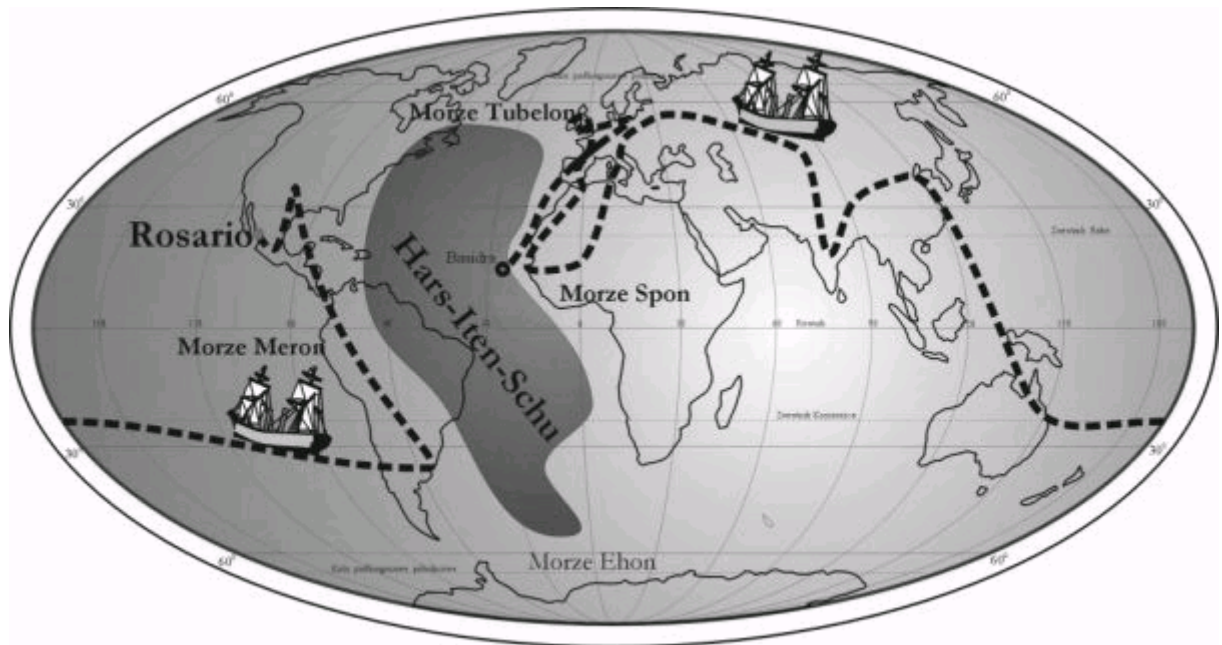
A jednak tak było! Przesuwaliśmy się niepotrzebnie dwanaście dni na północ, nie napotykając ładu. Nie znaleźliśmy go również, zmieniając ciągle kurs i kierując się na południe, przez prawie miesiąc. Przy całej paradoksalności sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy, ewidentnym stało się dla nas, że cały kontynent amerykański zniknął pod wodą!

Czyżbyśmy mieli być uratowani tylko po to, aby poznać męczarnie agonii? Tak naprawdę

mieliśmy powody obawiać się tego. Nie mówiąc o środkach do życia, które zmniejszały się z dnia na dzień, groziło nam inne niebezpieczeństwo: co zrobimy, kiedy brak węgla unieruchomi statek? To tak jakby przestało bić serce zwierzęcia. Dlatego też, 14 lipca, kiedy znajdowaliśmy się mniej więcej w miejscu dawnego Buenos Aires, kapitan Morris rozkazał wygasić kotły i podnieść żagle. Następnie zwołał cały personel *Virginii*, załogę i pasażerów i, wyjaśniając w kilku słowach naszą sytuację, poprosił o rozważne zastanowienie się i przedstawienie propozycji radzie, która zwołana miała być nazajutrz.

Nie miałem pojęcia, czy któryś z moich towarzyszy nieszczęścia zdolny był znaleźć rozwiązanie mniej lub bardziej sensowne. Jeśli chodzi o mnie, wahałem się, przyznając, bardzo niepewny najlepszego nawet pomysłu, a tymczasem burza, która rozpętała się w nocy, sama udzieliła odpowiedzi na pytanie. Płynęliśmy na zachód, popychani szalonym wiatrem. Cały czas odnosiliśmy wrażenie, że za chwilę pochłonie nas wściekle morze.

Huragan trwał trzydzieści pięć dni bez chwili przerwy i wytchnienia. Zaczęliśmy już tracić nadzieję czy on się w ogóle kiedykolwiek skończy, kiedy nagle, 19 sierpnia, piękna pogoda powróciła równie niespodziewanie jak zniknęła. Kapitan wykorzystał to, aby obliczyć nasze położenie – czterdzieści stopni szerokości północnej i sto czternaście stopni długości wschodniej. Były to współrzędne Pekinu!



Trasa *Virginii* w poszukiwaniu lądu

A więc przeplłynęliśmy nad Polinezją i być może Australią, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. W miejscu, gdzie teraz płynęliśmy, leżała kiedyś stolica cesarstwa o czterystu milionach mieszkańców!

Czyżby Azja podzieliła los Ameryki?

Przekonaliśmy się o tym wkrótce. *Virginia*, kontynuując swoją drogę kursem południowo-zachodnim, znalazła się na wysokości Tybetu, a następnie Himalajów. Tutaj miały się wznosić najwyższe góry świata. Nic z tego, we wszystkich kierunkach nic nie wynurzało się z powierzchni oceanu. Należało przypuszczać, że na Ziemi nie istniał już żaden skrawek stałego lądu poza wysepką, która nas uratowała – że byliśmy jedynymi, którzy

przeżyli kataklizm, ostatnimi mieszkańcami Ziemi pogrzebanymi w falującym całunie morza!

W tej sytuacji rychło miała nadejść nasza kolej. Mimo bardzo surowego racjonowania nasze zapasy żywnościowe kończyły się i nie mieliśmy najmniejszej nadziei na ich uzupełnienie...

Skracam opis tej straszliwej podróży. Gdybym, dla przytoczenia szczegółów, próbował odtwarzać dzień po dniu, wspomnienia doprowadziłyby mnie do szaleństwa. Na podstawie dziwnych i okropnych wydarzeń, które poprzedziły a później towarzyszyły naszej podróży, jakże opłakana wydawała się przyszłość – przyszłość, której nie zobaczę – a w czasie trwania tej piekielnej wędrówki dane nam było poznać apogeum okropności. Ach! Ten wieczny kurs po morzu bez końca! Codzienne oczekiwanie na możliwość przybicia gdziekolwiek i wciąż oddalający się kres podróży! Żyliśmy pochyleni nad mapami, na których ludzie wytyczyli kręte linie brzegów po to, aby stwierdzić, że nic, kompletnie nic nie zostało z miejsc, które wydawały się wieczne! Pomyśleć, że Ziemia tętniła wszechobecnym życiem, a teraz miliony ludzi i miriady zwierząt, które ją przebiegały we wszystkich kierunkach lub fruwały w powietrzu, że – wszystko to poniosło naraz śmierć, wszystkie te istnienia zgasły jednocześnie niczym mały płomyk na wietrze! Zdobywać powoli pewność, że wokół nas nie ma nic żyjącego i stopniowo uświadamiać sobie naszą samotność pośród bezlitosnego wszechświata!...

Czy znalazłem odpowiednie słowa, które oddałyby naszą rozpacz? Nie wiem. W żadnym języku nie istnieją słowa adekwatne do tej bezprecedensowej sytuacji.

Po przebyciu części morza, gdzie kiedyś był półwysep Indyjski, ponownie żeglowaliśmy przez dziesięć dni na północ. Później wzięliśmy kurs na zachód. Przekroczyliśmy łańcuch Uralu, będący obecnie górami podwodnymi, co w najmniejszym stopniu nie zmieniło naszego położenia i płynęliśmy nad czymś, co niegdyś było Europą. Następnie podążyliśmy na południe, aż do dwudziestego stopnia poniżej równika, po czym, zmęczeni naszym daremnym poszukiwaniem, podjęliśmy drogę na północ i pokonaliśmy, aż do Pirenejów, obszar wody pokrywający Afrykę i Hiszpanię. Prawda była taka: zaczynaliśmy się przyzwyczajać do grozy naszej sytuacji. W miarę jak przemieszczaliśmy się, zaznaczaliśmy naszą trasę na mapach i mówiliśmy: “Tutaj była Moskwa... Warszawa... Wiedeń... Rzym... Tunis... Timbaktu... Saint Louis... Oran... Madryt...” Stale, ze wzrastającą obojętnością, w czym pomogło przyzwyczajenie, wymawialiśmy bez emocji te słowa, w rzeczywistości jakże tragiczne.

A jednak ja bynajmniej nie wyczerpałem swoich możliwości cierpienia. Zdałem sobie z tego sprawę w dniu – było to, zdaje, się około 11 grudnia – kiedy kapitan Morris powiedział mi: “Tutaj był Paryż...” Słyszając te słowa, poczułem jak gdyby wrywano mi duszę. Że cały świat był zatopiony – zgoda! Ale Francja – moja Francja! Paryż, który ją symbolizował!...



Obok siebie usłyszałem coś jakby szloch. Odwróciłem się: to płakał Simonat.

Przez następne cztery dni kontynuowaliśmy naszą drogę na północ. Po przybyciu na wysokość Edynburga, skierowaliśmy się w kierunku południowo-zachodnim, w poszukiwaniu Irlandii. Następnie nasza droga prowadziła na wschód... W rzeczywistości błędziliśmy bez celu, jako że nie było już sensu udawać się w tym czy innym kierunku...

Przełynęliśmy nad Londynem i cała załoga oddała cześć jego morskemu grobowcowi.

Pięć dni później, kiedy znaleźliśmy się na wysokości Gdańska, kapitan Morris zmieniał kurs za kursem i w końcu rozkazał kierować się na południowy-zachód. Sternik wykonywał rozkaz bez przekonania. Jakież to mogło mieć znaczenie? Czyż wszędzie nie było tak samo?...

Był to dziewiąty dzień naszej żeglugi w tym kierunku, wskazywanym przez kompas, kiedy zjedliśmy ostatni kawałek suchara. Patrzyliśmy po sobie oczyma pełnymi rozpaczycy a tymczasem kapitan Morris wydał nagle polecenie rozpalenia wszystkich kotłów. Czym się kierował? – zadawałem sobie pytanie. Rozkaz został wykonany, szybkość statku zwiększyła się...

Dwa dni później cierpieliśmy już strasznie z powodu głodu. Następnego dnia prawie wszyscy odmówili wstania. Wstał jedynie kapitan, Simonat, kilku ludzi załogi i ja celem zapewnienia obsługi statku.

Nazajutrz piąty dzień głodówki. Liczba sterników i mechaników-ochotników jeszcze się zmniejszyła. Za dwadzieścia cztery godziny nikt nie będzie miał siły utrzymać się na nogach.

Żeglowaliśmy już od ponad siedmiu miesięcy. Od ponad siedmiu miesięcy przeoraliśmy

morze we wszystkich kierunkach. Sądzę, że było to ósmego stycznia – mówię “sądzę”, ponieważ nie potrafię być bardziej dokładny, jako że kalendarz od jakiegoś czasu stracił dla nas wiele ze swojej dokładności.

Otóż, było to tego dnia, kiedy trzymałem się barierki i siłą woli starałem się zachować resztki nadziei. Wtedy udało mi się zauważyć coś na zachodzie. Sądząc, że ulegam złudzeniu, przetarłem oczy...

Nie, nie myliłem się!

Wydałem prawdziwy ryk radości a później, trzymając się kurczowo barierki, krzyknąłem z całej mocy:

– Łąd przed nami z prawej burty!

Jakiż magiczny efekt miały te słowa! Wszyscy umierający nagle odżyli i ich blade twarze ukazały się ponad prawą burtą.

– Tak, to na pewno łąd – powiedział kapitan Morris po przyjrzeniu się chmurze, która ukazała się na horyzoncie.

Pół godziny później nie było już najmniejszej wątpliwości. Tak, to na pewno był łąd, na który natrafiliśmy na środku Atlantyku, po bezskutecznych poszukiwaniach na całej powierzchni byłych kontynentów!

Okolo trzeciej po południu, po pokonaniu ostatniej przeszkody, jaka dzieliła nas od brzegu, poczuliśmy jak odradza się nasza nadzieja. Tyle tylko, że brzeg ten nie był podobny do żadnego ze znanych nam i nikt z nas nie przypominał sobie czegoś równie dzikiego. Na łądzie, który zamieszkiwaliśmy przed katastrofą, przeważał kolor zielony. Widywaliśmy dzikie wybrzeża i jałowe krainy, ale nawet tam spotykało się jakieś krzewy, kępy kolcolistów¹⁹ lub po prostu ślady mchów czy porostów. Tutaj nie znajdowało się nic z tych rzeczy. Widać było jedynie ciemną plamę stromego brzegu, u którego stóp widniał las skał bez jednej rośliny ani chociaż źdźbła trawy. Większego pustkowiecia nie można było sobie wyobrazić. Dwa dni płynęliśmy wzdłuż tego stromego brzegu, nie widząc najmniejszego wgłębienia. Dopiero pod wieczór drugiego dnia odkryliśmy szeroką zatokę, dobrze chronioną przed wiatrami od morza, i w jej głębi rzuciliśmy kotwicę.



Po przedostaniu się łodziami na stały ląd, przede wszystkim zajęliśmy się zbieraniem żywności. Wybrzeże pokryte było setkami żółwi i milionami skorupiaków. W zagłębieniach podwodnych skał widać było nieskończoną ilość krabów, homarów i langust, że nie wspomnę o rybach. W każdym razie to bogate morze, z braku innych możliwości, zapewniłoby nam źródło utrzymania na czas nieokreślony. Po posileniu się znaleźliśmy szczelinę w zboczu, przez którą przedostaliśmy się na rozległy płaskowyż. Odkryliśmy szeroką przestrzeń. Nie omyliliśmy się co do wyglądu wybrzeża. Zewsząd, we wszystkich kierunkach, były tylko nagie skały, pokryte algami i trawą morską, 20 przeważnie wysuszoną, bez śladu najmniejszego bodaj źdźbła trawy, bez jakiegokolwiek śladu życia ani na ziemi ani w powietrzu. Gdziekolwiek tylko błyszczały w promieniach słońca małe jeziorka, czy raczej stawy. Kiedy chcieliśmy ugasić pragnienie, przekonaliśmy się, że woda jest słona.

Szczerze mówiąc, nie byliśmy tym zdziwieni. Fakt ten potwierdzał to, co przypuszczaliśmy od pierwszej chwili, a mianowicie że ten nieznaną kontynent narodził się niedawno, że powstał z jednego bloku, który wynurzył się z głębi morza.

Tłumaczyłoby to zarówno jego jałowość jak i absolutną bezludność. Wyjaśniało to też grubą warstwę okrywającego wszystko mułu, który na skutek parowania zaczynał pękać i zamieniać się w pył.

Nazajutrz, w południe, obliczenia wskazały $17^{\circ} 20'$ szerokości północnej i $23^{\circ} 55'$ długości zachodniej. Przenosząc to na mapę, mogliśmy zobaczyć, że punkt znajduje się na pełnym morzu, mniej więcej na wysokości Wysp Zielonego Przylądka. A tymczasem w kierunku zachodnim rozciągała się nieogarnięta wzrokiem ziemia, a na wschód morze. Aczkolwiek dziki i nieprzyjazny był kontynent, na którym postawiliśmy stopę, dał nam powód do

zadowolenia bo istniał. Dlatego bezzwłocznie przystąpiliśmy do rozładowania *Virginii*. Znieśliśmy na płaskowyż wszystko, co zawierała, bez wyjątku. Jednocześnie zabezpieczyliśmy porządnie statek czterema kotwicami zrzuconymi na piętnaście sążni głębokości. W tej spokojnej zatoce nie było żadnego niebezpieczeństwa i spokojnie mogliśmy statek zostawić.

Z chwilą, kiedy rozładunek został zakończony, zaczęło się nasze nowe życie.

Przede wszystkim należało...

Tutaj zartog Sofr musiał przerwać tłumaczenie. W tym miejscu w manuskrypcie była pierwsza luka, prawdopodobnie bardzo znaczna, sądząc po brakującej ilości tak interesujących stron. Po niej następowały inne, jeszcze bardziej pasjonujące, o ile w ogóle można to było ocenić. Bez wątpienia duża ilość stron, mimo zabezpieczenia etui, uległa zniszczeniu pod wpływem działania wilgoci. W rezultacie pozostały tylko mniej lub bardziej obszerne fragmenty, których kontekst nie był nigdy możliwy do odzyskania. Następowały w takiej kolejności:

...zaczynaliśmy się aklimatyzować.

Ile czasu upłynęło od naszego lądowania na tym brzegu? Już nie wiem. Zapytałem o to doktora Moreno, który prowadzi nasz kalendarz. Powiedział mi: "sześć miesięcy", dodając: "mniej więcej", bojąc się pomyłki.

Więc już do tego doszło! Wystarczyło sześć miesięcy a my nie jesteśmy pewni daty. A to dobre! Tak naprawdę w naszym zaniedbaniu nie było nic zadziwiającego. Całą naszą uwagę i działalność kierowaliśmy na przetrwanie. Problem żywności musiał być rozwiązywany każdego dnia. Co jemy? Ryby, jeśli je znajdujemy, co z dnia na dzień staje się trudniejsze, ponieważ nasze nieprzerwane łowy przepłoszyły je. Jemy też jaja zółwi i niektóre jadalne algi. Wieczorem jesteśmy suci ale tak zmęczeni, że myślimy tylko o spaniu.

Zmontowano namioty z żagli *Virginii*. Sądzę, że w najbliższym czasie należy pomyśleć o solidniejszym schronieniu.

Czasami ustrzelimy ptaka. Przestworza nie są tak bezludne jak myśleliśmy w pierwszej chwili. Na tym nowym kontynencie obecnych jest około dziesięciu znanych gatunków. Są to wyłącznie długodystansowcy: jaskółki, albatrosy, kondory i kilka innych. Należy sądzić, że na tej jałowej ziemi nie znajdują pożywienia, bo cały czas krążą wokół naszego obozowiska w poszukiwaniu resztek naszych nędznych posiłków. Oszczędzamy proch i strzelby, kiedy któryś pada z głodu.

Na szczęście są szanse na poprawę naszej sytuacji. W ładowni *Virginii* odkryliśmy worek zboża i posialiśmy połowę. Kiedy zboże wyrośnie, będzie to wielkie urozmaicenie. Ale czy wszędzie? Ziemia pokryta jest grubą warstwą piaszczystego mułu, tłustego z powodu rozkładających się alg. Jest to średniej jakości, ale zawsze nawóz. W chwili naszego lądowania był mocno zasolony, jednak ulewne deszcze tak dokładnie przepłukały powierzchnię, że wszelkie zagłębienia wypełnione są obecnie słodką wodą.

Soli pozbawiona jest jednak tylko cienka warstwa mułu. Strumienie i rzeki, nawet te, które dopiero co powstają, są mocno zasolone, co dowodzi, że głębiej gleba jest jeszcze bardzo nasycona.

Przy podziale zboża na zasiew i na żelazną rezerwę trzeba było się prawie bić: część załogi *Virginii* chciała zrobić z niego natychmiast chleb. Byliśmy przeciwni...

...które mieliśmy na pokładzie *Virginii*. Te dwie pary królików zniknęły w głębi i już więcej ich nie ujrzeliśmy. Mogę sądzić, że znalazły pożywienie. Ziemia, bez naszej wiedzy, produkowałaby więc ...

...dwa lata co najmniej jesteśmy tutaj!... Zboże obrodziło wspaniale. Chleba mamy właściwie pod dostatkiem a nasze pola uprawne wciąż się powiększają. Ale jakaż walka z

ptakami! Rozmnożyły się niesamowicie i wszędzie wokół naszych upraw...

Mimo zgonów, o której pisałem wcześniej, małe stadko, jakie stanowiliśmy, nie zmniejszyło się, wręcz przeciwnie. Mój syn i moja wychowanica mają trójkę dzieci, każde z trzech pozostałych małżeństw również po troje. Cała ta dzieciarnia tryska zdrowiem. Świadczy to o tym, że rodzaj ludzki od chwili tak radykalnego zmniejszenia się populacji posiada znacznie więcej energii i witalności. Lecz oby przyczyny...

...tutaj od dziesięciu lat i nic nie wiemy o tym kontynencie. Znamy go zaledwie w promieniu kilku kilometrów od miejsca naszego lądowania. To doktor Bathurst wytknął nam naszą gnuśność. Za jego namową przygotowaliśmy *Virginie*, co wymagało prawie sześciu miesięcy pracy i wyruszyliśmy na wyprawę badawczą.

Wróciliśmy przedwczoraj. Podróż trwała dłużej niż planowaliśmy, ponieważ chcieliśmy aby była kompletna. Opłynęliśmy dookoła cały kontynent i skłonni jesteśmy sądzić, iż wraz z naszą wysepką stanowi on jedyny stały ląd istniejący na kuli ziemskiej. Jego brzegi wydały nam się wszędzie takie same, to znaczy bardzo strome i dzikie.

Nasz rejs przerywany był licznymi wycieczkami w głąb lądu. Mieliśmy nadzieję znaleźć ślad Azorów i Madery, znajdujących się przed kataklizmem na Oceanie Atlantyckim i które w związku z tym powinny stanowić część nowego kontynentu. Nie natrafiliśmy na żadne ich pozostałości. Mogliśmy jedynie stwierdzić, że w miejscu położenia tych wysp ziemia była poruszona i pokryta grubą warstwą lawy.²¹ Z całą pewnością była ona miejscem gwałtownych zjawisk wulkanicznych.

Przykładowo, o ile nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy, to znaleźliśmy to, czego nie szukaliśmy! Na wysokości Azorów ujrzeliśmy, częściowo pogrążone w lawie, ślady pracy ludzi – ale nie mieszkańców Azorów, naszych wczorajszych współczesnych. Były to resztki kolumn i naczyń, jakich nigdy nie widzieliśmy. Po ich zbadaniu doktor Moreno wysnuł hipotezę, że pozostałości te mogły pochodzić z antycznej Atlantydy, a na światło dzienne wydobył je strumień wulkaniczny.



Doktor Moreno ma, być może, rację. Istotnie, legendarna Atlantyda, o ile w ogóle istniała, zajmowałaby miejsce nowego kontynentu. W takim razie byłaby to osobliwa rzecz – sukcesja trzech cywilizacji w tym samym miejscu; trzech cywilizacji, które jednak nie następowały po sobie. Problem, bez względu na to jaki jest, nie wiele mnie obchodzi. Mamy dość rzeczy do zrobienia dzisiaj, aby zajmować się przeszłością.

Po powrocie do obozowiska uderzył nas fakt, że, w porównaniu z resztą krainy, nasze otoczenie wydaje się okolicą uprzywilejowaną. Przejawia się to głównie w zieleni, niegdyś kolorze przeważającym w naszym środowisku. Nie jest on tutaj tak zupełnie niespotykany, podczas gdy reszta kontynentu jest go zupełnie pozbawiona. Nigdy wcześniej nie zauważyliśmy tego, ale sprawa jest oczywista. Nie istniejące w chwili naszego wylądowania źdźbła trawy rozprzestrzeniły się teraz obficie wokół nas. Należały zresztą do kilku najpospolitszych odmian. Ich ziarna zostały z całą pewnością przeniesione przez ptaki. W związku z powyższym opisem nie należy wysnuwać wniosku, że oprócz tych kilku gatunków nie ma innej roślinności. Wręcz przeciwnie. W efekcie przedziwnych przeobrażeń adaptacyjnych, na całym obszarze istnieje roślinność, co prawda w stanie szczątkowym, ale obiecującym.

Morskie rośliny, którymi ziemia pokryta była w chwili wynurzenia się kontynentu z wody, w większości wyginęły pod wpływem promieni słonecznych. Niektórym z nich udało się przetrwać w stawach, jeziorach i kałużach wody, stopniowo jednak wysychających z powodu wysokich temperatur. W tym okresie zaczęły powstawać rzeki i strumienie, tym bardziej sprzyjające życiu traw morskich i alg, że z powodu zasolenia były bardziej czyste. W miarę jak powierzchnia, a później głębsze warstwy gleby, pozbawiane były soli i woda stawała się

słodka, większość tych roślin uległa zniszczeniu. Jednak niewielka ich część przystosowała się do nowych warunków i rozwija się w słodkiej wodzie, jak uprzednio w słonej. Ale fenomen ten nie zakończył się na tym. Niektóre z tych roślin, obdarzone większymi zdolnościami akomodacyjnymi,²² po przystosowaniu się do życia w słodkiej wodzie, zaadoptowały się do życia na wolnym powietrzu. Najpierw przy brzegu, później stopniowo rozprzestrzeniły się w głąb lądu.

Dane nam było obserwować tę transformację na żywo i mogliśmy stwierdzić, jak formy zmieniają się równocześnie z funkcjonowaniem fizjologicznym. Już teraz kilka łodyżek wyciąga się nieśmiało w kierunku nieba. Należy się spodziewać, że pewnego dnia w ten sposób odrodzi się cała flora i wywiąże się zażarta walka między nowymi gatunkami i tymi, które pochodzą z tamtego świata.

Podobnie dzieje się z fauną. W okolicach ujść wodnych można zauważyć zwierzęta morskie, głównie mięczaki i skorupiaki, jak przeistaczają się w ziemne. W powietrzu pełno jest latających ryb, bardziej ptaków niż ryb. Płetwy ich rozrosły się niezwykle, a ogony pozbawione łusek pozwalają...

Ten ostatni, nieuszkodzony fragment zawiera koniec rękopisu.

...wszyscy starzy. Kapitan Morris nie żyje. Doktor Bathurst ma sześćdziesiąt pięć lat, doktor Moreno sześćdziesiąt, ja sześćdziesiąt osiem. Wkrótce zakończymy życie. Wcześniej jednak dokończymy podjętego zadania i, na ile jest to w naszej mocy, pomożemy przyszłym pokoleniom w walce, która je czeka.

Ale czy będą te przyszłe pokolenia? Chciałbym odpowiedzieć: tak, o ile mam na myśli li tylko reprodukcję nam podobnych. Dzieci rodzą się a w tym zdrowym klimacie, gdzie zwierzęta dzikie są nieznane, a średnia życia jest wyższa. Nasza kolonia potroiła liczbę mieszkańców. Natomiast zmuszony jestem odpowiedzieć: nie, oceniając zupełny upadek intelektualny towarzyszy mojej niedoli.



Nasza mała grupa rozbitków była wszak w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ mogła korzystać z wiedzy. Znajdowali się wśród nas: człowiek wyjątkowo energiczny, niedawno zmarły kapitan Morris, dwóch nieprzeciętnych ludzi – mój syn i ja, i dwóch prawdziwych uczonych – doktor Bathurst i doktor Moreno. Posiadając podobne umysły, można było czegoś dokonać. Ale niestety, tak się nie stało. Sprawa utrzymania się przy życiu od początku była – i jest jeszcze – naszym jedynym zmartwieniem. Tak jak w pierwszej chwili, cały nasz czas poświęcamy na zapewnienie sobie pożywienia a wieczorem, wykończeni, zapadamy w głęboki sen.

Pewne jest, niestety zbyt pewne, że ludzkość, której jesteśmy jedynymi reprezentantami, jest na dobrej drodze ku totalnej regresji²³ i zbliża się do barbarzyństwa! Cechy zwierzęce ujawniają się szczególnie u marynarzy z *Virginii*, ludzi, którzy już wcześniej byli nieokrzesani. Mój syn i ja zaprzepaściliśmy naszą wiedzę. Nawet doktor Moreno i doktor Bathurst pozwolili swoim umysłom popaść w jałowe ugory. Można wręcz powiedzieć, że nasze życie duchowe przestało istnieć.

Dobrze się stało, że przed laty opłynęliśmy nasz kontynent! Dzisiaj nie mielibyśmy tej odwagi... Poza tym nie żyje kapitan Morris, który kierował wyprawą. Nie ma też *Virginii* – rozleciała się ze starości.

Kiedyś niektórzy z nas zaczęli budować domy. W chwili obecnej te niedokończone budowle rozpadają się. Wszyscy niezależnie od pory roku sypiamy na gołej ziemi.

Już dawno nie zostało nic z naszych ubrań. Przez kilka lat staraliśmy się zastąpić je tkanymi z alg materiałami, które z czasem stawały się coraz bardziej zgrzebne. Łagodny klimat stopniowo rozgrzeszał nas z tego wysiłku; żyliśmy nadzy jak ci, których niegdyś

nazywaliśmy dzikusami.

Jeść, jeść – to nasze główne zadanie, podstawowe zajęcie.

Zachowaliśmy jednak zdolności do dawnych uczuć i myśli. Mój syn, Jean, dojrzały teraz i będący już dziadkiem, nie stracił do końca swojej zdolności odczuwania, a mój były szofer, Modeste Simonat, posiada mętne wspomnienie o tym, że kiedyś byłem jego pracodawcą.

Ale razem z nimi, razem z nami, te ostatnie cechy człowieczeństwa, tego czym kiedyś byliśmy – bo tak naprawdę nie jesteśmy już ludźmi – znikną na zawsze. W przyszłości, ci urodzeni tutaj nie zazną innej egzystencji. Ludzkość ograniczona będzie do tych kilku dorosłych – w chwili, gdy to piszę, mam ich przed oczyma – którzy nie potrafią ani pisać ani liczyć, a i mówią z trudnością; do tych dzieci o ostrych zębach, które wydają się składać z samego tylko żołądka. Po nich będą kolejni dorośli i kolejne dzieci, później następni, coraz bardziej podobni zwierzętom i coraz bardziej oddaleni od swoich myślących przodków.

Wydaje mi się, że widzę ich, tych przyszłych ludzi, niepomnych artykułowanej mowy, o ograniczonej inteligencji, ciałach pokrytych sierścią, wegetujących na tym jałowym pustkowiu...

Nie! Zrobimy wszystko, aby do tego nie dopuścić. Uczynimy wszystko co w naszej mocy, aby zdobycze cywilizacji, której część stanowimy, nie poszły na marne. Wraz z doktorem Moreno i doktorem Bathurstem pobudzamy nasze uśpione mózgi, zmuszamy je do pracy nad wspomnieniami, nad tym co potrafią. Dzieląc się pracą nad tym dokumentem i atramentem pochodzącym z *Virginii*, przekazujemy wszystko, co jest nam wiadome w różnych dziedzinach nauki, aby później ludzie, jeśli się zagubią, albo jeśli po okresie barbarzyństwa odczują brak światła, mogli dowiedzieć się, czego dokonali ich poprzednicy. Aby mogli błogosławić pamięć tych, którzy na wszelki wypadek poczynili wysiłek skrócenia ciężkiej drogi swoich braci, których nie dane im będzie poznać!

Na progu śmierci.

Od napisania ostatnich słów minęło około piętnaście lat. Nie ma już doktora Bathursta ani doktora Moreno. Byłem jednym z najstarszych spośród tych, którzy tu wylądowali, i jestem prawie ostatnim. Teraz moja kolej, czuję obok siebie śmierć, czuję jak powoli przenika od moich lodowatych stóp po serce, które przestaje bić.

Nasze dzieło jest ukończone. Rękopis, zawierający podsumowanie ludzkiej wiedzy, włożyłem do metalowej kasetki pochodzącej z pokładu *Virginii* i zakopałem ją w ziemi. Obok, w aluminiowym etui, zostawię te stronicę. Czy ktoś kiedykolwiek znajdzie ten depozyt złożony w ziemi? Czy w ogóle ktoś go będzie szukał?

To już sprawa przeznaczenia. Boże!...

W miarę tłumaczenia tego dziwaczego dokumentu duszę Sofra ogarniał rodzaj dziwnego oszołomienia. Jak to! Rasa Andarti Iten Schu miałyby pochodzić od ludzi, którzy po długich miesiącach błakania się po bezkresnych oceanach przybili do miejsca, w którym wznosi się teraz Basidra? Te nieszczęsne stworzenia należałyby do wspaniałej cywilizacji, w porównaniu z którą obecna zaczyna dopiero raczkować!? Nieprawdopodobne, co wystarczyło do zniszczenia wiedzy i świadomości tych potężnych ludów! Mniej niż nic, ledwo dostrzegalny skurcz, który obiegnął skorupę ziemską.

Gdyby manuskrypty zasygnalizowane w rękopisie, wraz z kasetką, która je zawierała, uległy zniszczeniu, byłaby to niepowetowana strata! Nie należało jednak robić sobie najmniejszej nawet nadziei. Robotnicy kopiący fundamenty dokładnie przesiali ziemię. Nie ulegało wątpliwości, że z czasem żelazna kasetka uległa korozji, podczas gdy aluminiowe etui przetrwało.

Poza tym, już nic więcej nie trzeba było do zachwiania optymizmu Sofra. Jeśli nawet dokument nie podawał żadnych szczegółów technicznych, to zawierał wiadomości ogólne i w

sposób niepodważalny udowadniał, że niegdyś ludzkość na poznanie posunęła się dalej niż kiedykolwiek później. W tym tekście było wszystko: pojęcia znane Sofrowi i inne, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy – nawet wytłumaczenie imienia Hedom, będącego zniekształceniem imienia Edem, które z kolei było zniekształconym Adamem.

Hedom, Edem, Adam – to odwieczny symbol pierwszego człowieka, to również wytłumaczenie jego pojawienia się na Ziemi. Sofr mylił się, powątpiewając w tego praojca, którego istnienie potwierdzone było w sposób niepodważalny w dokumencie. To lud miał rację, wierząc w przodków sobie podobnych. Również w innych dziedzinach ludzie Andarti Iten Schu niczego nowego nie odkryli. Zadawali się powtarzaniem tego, co powiedziano przed nimi. Być może współcześni autora tekstu wcale nie wymyślili więcej.

Być może oparli się na zdobyczach innych cywilizacji żyjących na Ziemi przed nimi. Czyż dokument nie wspominał o ludzie zwanym Atlantydzii? Do nich z całą pewnością należały ledwo zauważalne powyżej warstwy namułu szczątki, które Sofr odkrył w czasie swoich wykopalisk. Jaki stopień wiedzy osiągnął ten antyczny lud w chwili, kiedy wylew oceanu zmiotł go z powierzchni ziemi?

Bez względu na poziom cywilizacji, po katastrofie nic po niej nie zostało i człowiek musiał rozpocząć swoją drogę ku postępowi od początku. Być może to samo będzie po nich aż do dnia...

Czy nadejdzie dzień, w którym nienasycone pragnienia człowieka zostaną zaspokojone? Czy nadejdzie dzień, w którym po osiągnięciu szczytu odpocznie on na nim?...

Oto o czym myślał zartog Sofr, pochylony nad szacownym manuskrypcem.

Poprzez tę pozagrobową relację widział on straszliwy dramat, jaki rozgrywa się bezustannie we wszechświecie, i jego serce pełne było współczucia. Cały krwawiąc w niewyobrażalnych bólach tych, którzy cierpieli przed nim, uginając się pod ciężarem zbędnych trudów poniesionych w nieskończoności czasu, zartog Sofr nabierał powoli i boleśnie wewnętrznego przekonania o wiecznym początku rzeczy.

Przypisy

1 Annały – kroniki, roczniki.

2 Atawizm – występowanie u człowieka cech jego dalekich przodków.

3 Hekatomba – krwawa ofiara.

4 Andartowie Iten Schu nie znali więc Neptuna (przyp. autora); nie znali też Plutona, którego ostatnio nie zaliczamy do planet (przyp. kor.)

5 Widzimy, że, znając telegraf, Andartowie Iten Schu nie znali jeszcze telefonu i światła elektrycznego w dniu, kiedy zartog Sofr Air Sr oddawał się rozmyślaniom (przyp. autora).

6 Sensorycznie – doznawany za pomocą zmysłów; czuciowy, wrażeniowy.

7 Humus – składowa część gleby; próchnica.

8 Etui – pudełeczko służące do przechowywania drobnych, precyzyjnych lub kosztownych przedmiotów; futerał.

9 Tekstura – wewnętrzna budowa materiału.

10 Faeton – tu: marka samochodu.

11 *Señor* (hiszp.) – pan.

12 Darwinista – zwolennik teorii ewolucji Darwina; głosi ona, że życie na Ziemi, w tym także człowieka, rozwinęło się do obecnej postaci w drodze powolnych przemian organizmów prostych w bardziej złożone.

13 Immanentny – będący wewnątrz czegoś, nie wynikający z działania czynnika zewnętrznego.

14 Apologeta – obrońca jakichś zasad, idei.

15 Tuby pneumatyczne i elektroniczne – autor opisuje tu metro. Słowo “elektroniczne” nie zostało tu ujęte w znaczeniu dzisiejszym.

16 Dytyramb – entuzjastyczna pieśń pochwalna, natchniony hymn.

17 Don – w krajach latynoski tytuł grzesznościowy, niegdyś przynależny szlachcom.

18 Kontemplować – przyglądać się czemuś w skupieniu, poznawać; tu: podziwiać.

19 Kolcolist – *Ulex*, roślina z rodziny motylkowatych, o drobnych, wiecznie zielonych liściach i ostrych

cierniach; występuje w kilku gatunkach w płd.-zach. Europie; w Polsce uprawiany jest kolcolist zachodni.

20 Algi – najprostsze samożywne rośliny plechowe, występujące głównie w wodach, stosowane w przemyśle chemicznym, farmaceutycznym i spożywczym; glony; **trawa morska**, tasiemnica (*Zostera*) – roślina występująca w morzu do głębokości 20 m; tworzy łąki.

21 Lawa – gorąca magma wydobywająca się przy wybuchach wulkanicznych i zastygająca na powierzchni Ziemi.

22 Akomodacja – przystosowanie (się).

23 Regresja, regres – ruch wsteczny, cofanie się.